

Janusz Nowak, absolwent z 1973 roku

„Dziwiątka” – opowieść w siedmiu odsłonach z prologiem i epilogiem

Za późno jest już,
Nie znaleźmy słów, przepadła gdzieś nam
Ta miłość ze szkolnych lat
Choć został w zeszytcie kwiat

Miłość ze szkolnych lat, piosenka z repertuaru Urszuli Sipińskiej

Prolog. Zeszyt zapisany zielonym atramentem

W zeszytcie, od którego się wszystko zaczęło, nie znalazłem zasuszonego kwiatu, ale ten dziewczęcy kajet wskazał mi drogę do „dziwiątki” na Kasprowicza.

Było tak. Pod oknami naszego mieszkania w kamienicy na ul. ks. Staszica gwarzyły dwie dziewczyny w granatowych mundurkach z naszytymi tarczami, w pełnych uroku czapkach uczniowskich (kto dzisiaj jeszcze je pamięta?!). Ich słoneczny śmiech potęgował piękno i radość pierwszych dni czerwca. Dziewczyny „zniknęły jak sen jaki złoty”, zostawiły wszakże pamiątkę tamtego spotkania. Zeszyt szkolny zapisany zielonym atramentem. Roztargnione panny położyły go na schodach przed potężnymi drzwiami do kamienicy i o nim zapomniały. A może – tak sobie lubię tłumaczyć – zrobiły to celowo. Mrugnęły do mnie, trzynastolatka, oczętami, zachęcając do zainteresowania się „dziwiątką”.

Wtedy po raz pierwszy wszedłem do gmachu Liceum. Odnosząc z przejęciem zeszyt zapisany zielonym atramentem do sekretariatu, miałem wrażenie, że przebywam w Collegium Novum i w Leopoldinie równocześnie (choć w tedy jeszcze nie wiedziałem rzecz jasna, jak te cudowne przestrzenie wyglądają).

W tym dniu powziąłem postanowienie: wrócę tu. Na dłużej.

Odsłona pierwsza. Egzamin

Dyktando, wypracowanie, zadania matematyczne, odpowiedzi ustne. Powaga, ton serio, zero infantylizmu. Poczucie wkroczenia w sferę nauki, traktowanej z namaszczeniem.

A potem przybieganie przez niemal całe wakacje pod szkołę, aby na nowo upewnić się, że nazwisko nie zniknęło z wywieszanej na drzwiach listy przyjętych.

I codzienny łyk radości. Codzienne dziękczynienie Bogu.

Jestem uczniem I LO!

Odsłona druga. Z tarczą

Czerwona tarcza z białą inskrypcją musiała być starannie przszyta, a nie jedynie przyczepiona agrafką. Nauczyciele skrupulatnie to kontrolowali.

O tarczo szkolna, twoją moc zrozumiałem w dniu wręczenia świadectw dojrzałości, kiedy symbolicznie oddawałem ją na znak rozstania z Liceum!

O tarczo szkolna, jak bardzo pragnąłbym cię znowu przszyć do ubrania i wyjść z tobą na ramieniu na ulice miasta, obnosząc swoją dumę!

Odsłona trzecia. Żaby

Śmiali się z nas. Tych z I „c”. Nazywali żabami, kiedy chodziliśmy po szkole i poza nią w mundurkach w kolorze zielonym. Nie był to bynajmniej kolor khaki. Raczej, *excuse moi*, tzw. zgniła zieleń.

Ten śmiech odbijał się od nas jak od ściany. Umieliśmy zrobić z naszych zielonych mundurków atut, symbol naszego zbiorowego charakteru, naszej gromadnej siły. Po jakimś czasie patrzono już na nas z

zazdrością, jako na tych, którzy nie pękają, jako na indywidualistów, dodających kolorytu szkole, wręcz jako na grupę...hipisów.

Odsłona czwarta. Potańcówka w klubie

Mówiliśmy po prostu klub, chociaż oficjalnie był to, cóż począć, takie niemiłe okoliczności nie tylko przyrody, Klub Związku Młodzieży Socjalistycznej.

Z kolumny głośnikowej, dołączonej do gramofonu „Bambino”, rozbrzmiewali Stonesi, Breakout, Skaldowie, Czerwone Gitary, Niebiesko-Czarni, Sipińska, 2+1...

Nauczyciele dyskretnie zostawiali nas samych, abyśmy się nacieszyli mocnym rytmem, bliskością, haustami wolności.

Odsłona piąta. Ekstremalne sporty

To był cud. Wraz z upływem lat jestem tego coraz bardziej pewny. O tym, co się stało, dowiedziałem się po wszystkim, kiedy minął nieprawdopodobny szok.

Setne części sekundy, które wydawały mi się wiecznością. Koledzy z drużyny i przeciwnicy zza siatki zamienili się w nieme posągi.

Złowieszczą ciszę przerwał huk uderzenia w parkiet wielkiej i ciężkiej lampy, która wydrążyła w podłodze głęboki krater.

Pół metra, może metr...

Wielki cud!

Odsłona szósta. ARTOS

Comiesięczne spotkania umuzykalniające w auli. Comiesięczne uczty duchowe. Występy młodych wówczas instrumentalistów i śpiewaków, których nazwiska miały w bliskiej przyszłości stać się sławne w Polsce i świecie.

Wielka wdzięczność dla twórców, organizatorów i realizatorów tego zapomnianego dziś przedsięwzięcia.

Odsłona siódma. Dzień Kobiet

Oj zaszaleliśmy dwa miesiące przed maturą. Przygotowaliśmy w piątkę występ kabaretowy dla uczczenia naszych pań. A największe szaleństwo skutecznym ja we własnej osobie. „Zagrałem” Eugeniusza Bodo przebranego za kobietę i śpiewającego „Sex apeal”. Aula trzęsa się ze śmiechu, a ja do dzisiaj nie potrafię uwierzyć, że zdobyłem się na takie wariactwo. I to najzupełniej na trzeźwo!

Ależ mieliśmy odwagę!

Dwa miesiące przed maturą!

Odsłona ósma. Już za dzień matura

Matura nie przebiła egzaminu wstępnego. W maju 1973 roku byliśmy ludźmi oswojonymi ze stresem, ogromnie doświadczonymi w trudnych bojach toczonych podczas klasówek, niezapowiedzianych sprawdzianów, kartkówek, odpowiedzi ustnych przy tablicy i przy mapie.

W ciągu czterech lat perfekcyjnie opanowaliśmy arkana sztuki przetrwania (w najszlachetniejszym, najgłębszym i najszerszym znaczeniu tego wyrażenia), dzięki czemu maturę przetańczyliśmy z wdziękiem solistek i solistów baletu Teatru Wielkiego.

Odsłona dziewiąta. W stronę słońca, czyli powrót z komersu

Kończyła się krótka czerwcową noc. Skończył się bal maturalny. Zabawa w restauracji w Kuźni Raciborskiej była, jak się mówi przy takich okazjach, szampańska. Pełna integracja mistrzów z „wyzwolonymi” czeladnikami. Jedni i drudzy stawili się w komplecie. Jedni i drudzy tańczyli do upadłego.

Ponad pół wieku temu wędrowaliśmy gromadą do Raciborza, śpiewając, pokrzykując, dowcipkując. „Wesele musowało w ciele, można było oszaleć z radości”.

Szliśmy w zachwyceniu w stronę wschodzącego słońca. W stronę przyszłości, która jawiła się nam jako nieodkryty kontynent.

W tamtych gorących godzinach, minutach, sekundach, które natychmiast „spłynęły z tej doczesności w bezdenne morze wieczności”, mieliśmy w sobie coś z Kolumba i innych wielkich podróżników.

Czy można jeszcze raz rozpocząć wędrówkę w stronę słońca?

Cóż, my, drogie koleżanki i drodzy koledzy, jesteśmy już na innej drodze.

Najważniejszej

Idziemy dokąd poszli tamci do ciemnego kresu

Epilog albo znak krzyża

znów przeżegnał się
przejeżdżając koło budynku
szkoły
któryż to już raz

zastanawiał się często
skąd się bierze ten
odruchowy gest

może z wiedzy
że przed stu laty
aula służyła również

jako kaplica

może z powodu sygnaturki
zdobiącej poniemiecki
gmach

może z szacunku
dla spotkanych w nim ludzi

albo w podzięcie
za błogosławieństwa
obficie wylane
w ciągu pół wieku

[z tomu *Akt strzelisty*, Gdynia – Kraków 2025]

.